

## ROZDZIAŁ XVI.

Na dworze przyjęła go noc, burza, deszcz... Robert nie czuł nic wokół siebie, nie wiedział nawet, co go otacza. Nie otworzył parasola, aby zasłonić się przed ulewnym deszczem, nie odwrócił głowy, kiedy wiatr wpadł na niego z całym rozmachem rozszalałego orkanu. Burza, jaka w nim szalała, była silniejsza, niż ta, której szedł naprzeciw, która wzburyła naturę. Krew pulsowała mu gwałtownie w żyłach, a nawał uczuć oszalała go. Nieznany, słodki zachwyt walczył w nim z ogromnym smutkiem, wytwarzając stan psychiczny, jakiego nigdy jeszcze nie doznawał, jakiego wogóle nie znał i nie przypuszczał, aby był możliwy.

Prawie godzinę błąkał się tak po mieście, jak okręt bez steru, rzucony losom na wzburzone fale. Nie czuł ani głodu, ani pragnienia, a szczęście i rozpacz walczyły w nim o lepsze.

— Ona niewinna! — świadomość ta ozwała się nagle tryumfalnie w jego duszy. — Jeśli jednak tak jest, to nie może ona ani chwili pozostać w więzieniu. Czy ma stać się ofiarą pomyłki sądowej? Doktor Ammarell nie chciał wierzyć w jej niewinność, otóż teraz musi, jako prawnik musi znaleźć środki i drogi, aby wykazać jej niewinność. Powiem mu, co ona mi wyznała!

Zawołał natychmiast na pierwszego fiakra, jaki mu się nawinął i kazał jechać do mieszkania adwokata. Przemókł prawie do koszu. Przyjaciela swego zastał w domu, spacerującego nerwowo po swojej pracowni.

Doktor Ammarell przeląkł się, gdy zobaczył lekarza.

— Do diabła, doktorze, jak pan wygląda? Przecież przemókł pan, aż do kości, pan, jako lekarz, wyprawia takie historie?

— Coż to szkodzi — odpowiedział Robert niecierpliwie — muszę z panem pomówić, gdyż...

— Nie, nie — przerwał mu adwokat, na prawdę zaniepokojony. — Pan dzisiaj jest rozdrażniony, nim z panem zacznę mówić, musi się pan u mnie przebrać. Potem siądzie pan przy kominku i wypije szklankę grzanego wina, które tymczasem dla pana przygotuję.

Doktor protestował, ale to nic nie pomogło. Ammarell ani na jotę nie ustąpił od tego, co powiedział.

— Muszę ja dzisiaj robić doktora dla lekarza — mruczał zadowolony. Po kwadransie siedział już lekarz, ubrany w szlafrok przyjaciela, na kanapie, a przed nim dymiła szklanka grzanego wina. Na zewnątrz był zupełnie spokojny, podczas gdy w duszy burza jeszcze huczała.

— Teraz pan może mówić, doktorze — oświadczył mu wreszcie adwokat.

— A więc słuchaj pan w trzech słowach: Marga jest niewinna.

— Skąd pan to wie?

— Powiedziała mi to ona sama — a mnie byłaby bezwarunkowo powiedziała prawdę. Była bardzo urażona, że ja wogóle wątpiłem w jej niewinność, kochany Ammarell. O! ja długo z nią... słowem, niewinnie jest skazana, niech pan wierzy mnie i jej!

Adwokat Ammarell wypuścił kilka wielkich kłębow dymu, potem zagryzł silnie wargi. Po chwili dopiero powiedział poważnie:

— Ona jest niewinna, wiem o tem, doktorze!

Robert odstawił zdziwiony szklankę, którą właśnie niósł do ust.

— Co i pan wierzy w to?

— Tak, doktorze, czy pan przypuszcza, że byłbym inaczej tak gorąco stawał w jej obronie? Nigdy nie mam zwyczaju mówić rzeczy, w które sam nie wierzę. Jeszcze wczoraj inaczej układałem moją mowę końcową, gdyż wczoraj jeszcze widziałem w niej morderczynię.

— Jakto?... a dzisiaj już nie?

— W czasie rozprawy zmieniło się moje przekonanie.

Doktor Burger okazał wielkie zadowolenie.

— Nie mogło przecież być inaczej — zawołał zadowolony. — Tem straszniejsze, że zachodzi tu wypadek, w którym tylko cud może sprowadzić wyjaśnienie. Biedna baronowa już zrezygnowała z ratunku, oświadczyła mi, że nie ma już żadnej możli-

wości wyjaśnienia jej procesu. Dla świata pozostała już na zawsze winną. Obawiam się, że ma rację. Tylko cud mógłby wykazać jej niewinność.

Doktor Ammarell nalał sobie szklankę wina, wypił ją, wypuścił kłąb dymu i powiedział spokojnie:

— A jednak bywają takie wypadki, doktorze...

— Pan na prawdę ma nadzieję?

— Nie tylko mam nadzieję, ale mam już pewne dane, na podstawie których może mi się uda rozwiąć ten gordyjski węzeł. Odkrycie moje zawdzięczę przypadkowi — cudowi, jeśli pan to tak chce nazwać — a może trochę także mojej bystrości obserwacji. Ale ja nie tylko wiem, że Marga Wolfen jest niewinna, ja... znalazłem już nawet kierunek, gdzie dowody jej niewinności powinny być szukane, ba! jeszcze więcej, ja już przypuszczam, gdzie znajdę prawdziwego sprawcę.

Tym razem Robert zerwał się na równe nogi, wywracając rękawem szklankę, której pachnąca zawartość rozlała się po stole i podłodze.

— O! przepraszam! — zawołał, ale takim tonem, który wskazywał, że na ten wypadek zupeł-



— O mój Boże!... tyle szczęścia! naturalnie, że pani niewinna.

nie nie zwraca uwagi. — Nie potrzebuję zresztą już wina, gdyż i tak robi mi się gorąco. Cóż, na Boga! zdarzyło się takiego, Ammarellu i to na rozprawie, powiada pan? Ja przecież nic nie zauważyłem, a z innych obecnych także nikt? O kim pan mówi? Dlaczego nie mówił pan od razu tam na miejscu?

— Gdyż w takim razie byłbym ostrzegł sprawcę i wszystko zepsuł — odpowiedział prawnik z przebiegłym uśmiechem. — Nie, nie, ani jedno słowo nie powinno było być powiedziane — nawet nie mogłem dać poznać po sobie, że fakt spostrzeżony zdumiał mnie, mimo, iż zaledwie mogłem nad sobą zapanować. Sprawca, którego podejrzewam, musi być przekonany dalej, że wszyscy uważają baronową za właściwą morderczynię. Musi tak, jak dotychczas, czuć się zupełnie bezpiecznym.

— A kto jest właściwym sprawcą?

— Nie wiem, mam tylko podejrzenia.

— Czyżby sam baron?

— Proces panu jasno wykazał, że on nie może być brany w rachubę. Według mego zapatrywania nie mamy tu do czynienia z mężczyzną, ale z kobietą?

— Z kobietą?

— Tak. Niech pan słucha. Potrzebuję pomocnika i tym pan będzie, ponieważ pan ma obok mnie największy interes w tem, aby sprawę rozwikłać. Mogę również liczyć na pana dyskrecję. Niepotrzebne jedno słowo, wypowiedziane przy pewnych osobach, mogłoby wszystko popsuć.

— Rozumie się, rozumiem się! — zawołał doktor, pełen zapału. — Tylko dalej.

— Przypomina pan sobie świadka, kobietę, która właściwie z całą aferą nie miała nic wspólnego, pannę Albanus, gospodynię barona?

— Zapewne, ale ona...

— Ona zastała baronową w chwili, kiedy tamta trzymała w ręku flaszkę z trucizną.

— Tak... ale...

— Stała przy drzwiach, a więc dosyć daleko... mimo to na rozprawie poznała z całą dokładnością okazaną jej flaszkę.

— Zamieniła chyba przedmiotowe przeświadczenie na podmiotowe.

— Tak nie sędzę. Przypuszczam, że ona z całą pewnością poznała flaszkę. Pan sobie przypomina, że przewodniczący po ukończeniu jej przesłuchania przezemnie, dał jej do rąk flaszkę do oglądnięcia.

— Tak, tak było.

— A teraz niech pan uważa. Zanim panna Albanus złożyła swoje stanowcze zeznanie, nie tylko obejrzała dokładnie flaszkę, ale zauważyłem, że pospiesznie palcem prawej ręki szukała jakiegoś znaku na brzegu spodu flaszki. Dlaczego to robiła? Może pan zauważył, że po zeznaniach tej pani zamysliłem się tak, iż nawet przewodniczący musiał mnie przywołać do porządku. Powodem tego zamyslenia było rozważanie spostrzeżonego faktu. Jak błyskawica przeniknęło mnie wtedy przeświadczenie, że klientka moja jest niewinna.

— Ależ... ja nie rozumiem, jak ta uboczna zupełnie okoliczność...

— Uboczna... doktorze, z pana jest bardzo lichego prawnik. Niech pan uważa na moje pytania: jeśli panna Albanus szukała na flaszcze znaku, po którym ją mogła poznać, to musiała wiedzieć, że znak taki istnieje?

— Istotnie, chyba, że wiedziała.

— Jeśli nigdy flaszki tej nie miała w rękach — to w takim razie jakżeż znała taki mały znaczek na niej, kiedy rzekomo widziała ją tylko z bardzo daleka. Skąd pochodziła więc ta jej specjalna znajomość flaszki?

— Tego... na prawdę nie wiem.

— Wynika więc bardzo prosto: znalazła przedtem sposobność, albo jej poszukała, aby flaszkę obejrzeć. Oglądałem sam flaszkę po ukończeniu przesłuchania świadków i przekonałem się, że na dole mały kawałek szkła odskoczył, co stanowiło jednak tak małą skazę, że bardzo trudno było ją zauważyć. Ona jednak znała tę skazę. Czy okoliczność ta nie wskazuje na jakąś dziwną, bardzo dokładną znajomość flakonu?

— Ma pan zupełną rację — zawołał zdziwiony lekarz.

— Czy pan nie przypomina sobie, czy flaszkę ta była cała, kiedy znajdowała się u pana w szafeczce?

— O ile sobie przypominam, była cała. Czy jednak skaza ta nie mogła się zrobić wtedy, kiedy flaszkę została wyrzucona do ogrodu?

— Niemożliwe. Znalazł ją tam komisarz i zaraz schował. Panna Albanus przy tem nie było, nie widziała też flaszki aż do dzisiaj. Skaza ta musiała powstać lub być już w tym czasie, kiedy istniała dla niej możliwość przekonania się o tem.

— Bardzo słusznie.

— Przypuszczam następujący przebieg rzeczy. Panna Albanus widziała przypadkiem flaszkę w rękach młodej kobiety. Ciekawość popchnęła ją do tego, aby się dowiedzieć, co właściwie baronowa w rękach trzymała i tak szybko, zmieszawszy się, przed nią ukryła. Flaszkę znajdowała się w płaszczu, który wisiał w sąsiednim pokoju na szaragach. Jako gospodyni domu nie trudno jej na pewno było dostać się pokryjomu do tego pokoju, w chwili, kiedy zarówno baronowa jak i zakonnica zajęte były w pokoju chorego, może w momencie, kiedy lekarz przyszedł z wizytą.

(Ciąg dalszy nastąpi).